

Bogdan Doroszeńko  
ul.Korzeniowskiego 46.

© ARCHIWUM WSCHOŃNIE

Nazywam się Bogdan Doroszeńko. W czasie drugiej wojny światowej byłem deportowany na Syberię. Przebywałem tam od roku 1941-go do roku 1956-go. Wywieziony byłem dwa razy. Pierwszy raz ze wsi Śńczyty, gmina Orla, były powiat Bielsk Podlaski. Było to na jakieś osiem godzin przed wybuchem wojny niemiecko-radzieckiej; w godzinach popołudniowych w sobotę, 22-go czerwca 1941-go roku. Początek był właściwie typowy. NKWD-yści przyszli nocą, o godz. 2.00 - 2.30, tego dokładnie nie pamiętam. Byłem tym bardzo przestraszony. W domu byłem tylko z mamusią.

Ojca nie było, ponieważ został on aresztowany jeszcze w roku 1940-tym i osadzony w więzieniu w Łomży. Według posiadanych do dziś wiadomości wydostał się z więzienia z chwilą wybuchu wojny /więźniowie wyłamali drzwi/ ale został zamordowany przez komunę - gwałtownie i w popłochu cofających się Rosjan. Wracał do domu, do rodziny. Prawdopodobnie aresztowano i natychmiast ~~zamordowano~~ go w okolicach miejscowości Rutki k/Brańska. Podobno zadano mu śmierć szablą. Ja miałem wówczas dopiero 15-cie lat.

Prawdopodobną przyczyną aresztowania ojca a następnie deportowania nas na Syberię był fakt posiadania przez ojca sporego gospodarstwa, którego obszar wynosił ok. 50 ha. Mieszkaliśmy za wsią. Była to kolonia a raczej dworek. Tu moi rodzice prowadzili gospodarstwo. Ja, przed samą wojną 1939-go roku, zacząłem chodzić do pierwszej klasy gimnazjum w Bielsku Podlaskim. Tam zastała mnie wojna.

Wywieziono nas przez komunistów. NKWD-yści dali nam na spakowanie się pół godziny. Przyjechali po nas ciężarówką. Niektórzy

z nich, NKWD-ystów, byli ludzcy. Starali się nam pomóc. Nawet wynosili niektóre rzeczy, podpowiadali nam, co należy koniecznie zabrać ze sobą uprzedzając, że tam gdzie pojedziemy, za wygodnie nam nie będzie. Kiedy już załadowano nasze rzeczy, posadzono nas na samochód. Pojechaliśmy narazie niedaleko, do drugiego, takiego samego jak nasz, majątku pp. Tymoszyckich. Załadowano ich tak samo jak wcześniej nas i pojechaliśmy na stację kolejową w Bielsku Podlaskim. Odległość wynosiła dwanaście km. Stąd rozpoczęliśmy naszą długą podróż.

Na peronie stacji w Bielsku Podlaskim byliśmy przez cały dzień, do samego wieczora dnia 21 czerwca 1941-go roku. Stąd mogłem z łatwością uciec, bo byłem jeszcze mały i zbytnio nie rzucałem się w oczy. Ale nie mogłem zostawić matki.

Był to początek wakacji. Koło stacji przechodził mój szkolny kolega, Głód. Zdobył się wówczas na bardzo szlachetny ale i odważny gest: podał mi bochenek chleba. Nie uląkł się tego, że dookoła stoją bojcy ze sztykami na karabinach. Ryzykując wiele przedarł się do mnie z chlebem. Nigdy tego nie zapomnę. Pamiętam to do dziś i zawsze zachowam go we wdzięcznej pamięci. Gdy wróciłem z Syberii, pierwsze kroki skierowałem właśnie do niego, mojego wypróbowanego kolegi. Przez wiele lat po wojnie mieszkał w Białymstoku. Zmarł w ubiegłym roku. Po wojnie skończył studia i był inżynierem.

Wreszcie załadowano nas do wagonów, oczywiście bydlęcych. Czyniono to z wrzaskiem, popychaniem, urąganiem i poszturchiwaniem. W wagonie, zamiast ubikacji była w podłodze dziura a za kratowane okienka znajdowały się wysoko, pod samym sufitem. W wagonie od początku panował niesamowity tłok. Jak sobie to dziś przypominam, w naszym wagonie, a tak samo było i w pozos-

tałych, znajdowało się piętnaście do dwudziestu rodzin. Było tak ciasno, że spać można było tylko na jednym boku. Na drugi bok przewracaliśmy się na komendę. Na stojąco jakoś można było jeszcze wytrzymać. Spanie zaś było koszmarem.

W wagonie naszym byli ludzie różni: ze wsi jak i z miasta. Zorganizowaliśmy - już na początku - sanitariat. Z kilku przecieradeł zrobiono parawan dookoła dziury tak, aby załatwianie niezbędnych czynności fizjologicznych było jak najmniej kłopotliwe dla otoczenia i jak najmniej żenujące dla tego, kto w danej chwili musiał z tego korzystać. ~~Że~~ A że smród był, tego nie dało się uniknąć.

Pamiętam, że jechaliśmy przez Hajnówkę, Baranowicze; dalszych miejscowości już nie pamiętam. Nasz transport skierowano gdzieś między Moskwą a Kijowem. W czasie jazdy było bardzo trudno zorientować się, którędy jedziemy i gdzie w danym momencie znajdujemy się. Zresztą ja wówczas byłem mały i niezbyt dokładnie orientowałem się w geografii Rosji. Te przestrzenie wszystkich oszałamiały.

W czasie jazdy codziennie otwierano drzwi i na cały wagon dawano dwa wiadra wody i czasem wiadro a niekiedy i dwa wiadra zupy, którą nazywaliśmy bałandą. Chleba nie dawano nigdy. W wagonie w tym względzie panowała wyjątkowa solidarność. Dzieliliśmy się między sobą, czym kto miał. Bogaci żywili tych najbiedniejszych.

Wieziono nas chyba przez miesiąc, nie wypuszczając na zewnątrz w ogóle. Jedynie ci, którzy chodzili po wodę lub bałandę, mieli przy okazji 5-10 minut spaceru na powietrzu. Ale po wodę chodzili dorośli, nigdy dzieci, jak ja. Oni też chodzili po żywność.

Wreszcie pociąg zatrzymał się w Bijsku, w Ałtajskim Kraju.

Tu wyładowano nas z wagonów. Następnie, zupełnie nieoczekiwanie przeprowadzono bardzo gruntowną rewizję. Mimo tego mnie udało się przemycić polskie książki. Jednak najważniejsze było to, że moja mamusia zdołała ukryć polski paszport. To nas później wielokrotnie ratowało.

Po rewizji odbyło się targowisko, na którym wystąpiliśmy w roli bydła roboczego lub niewolników. Zwaliła się czereda urzędników z okolicznych kołchozów i sowchozów. Każdy z nich wybierał tych, którzy z wyglądu przedstawiali większą wartość jako siła robocza. Zabrano nas wszystkich. Następnie grupami zaczęto ładować nas na wozy konne a innych na samochody ciężarowe. Nas właśnie załadowano na ciężarówkę, gdyż czekała nas długa droga - do miejscowości oddalonej od Bijska o 50 km. W okolicy płynęła piękna rzeka - Katunia. Wokół piękne góry, piękny kraj.

Zawieziono nas do wsi Surtajka, Bardiński rejon, obłast' Ojrot - Tura.

Kiedy jeszcze jechaliśmy transportem na Syberię, nad naszym pociągiem krążyły niemieckie samoloty, ale bomb nie rzucały.

Zajechaliśmy do Surtajki i promem przeprawiliśmy się przez jakąś rzekę. To nie były Katunia ani Katuńka. Najprawdopodobniej była to Inia lub Iniuszka. Zamieszkaliśmy w pokoju o rozmiarach 4 x 3 metry. Do tego pomieszczenia ulokowano trzy to-dziny, razem 12 osób.

Już pierwszej nocy jednej z naszych współlokatorek, p. Perkowskiej / nie jestem pewien, czy dobrze pamiętam nazwisko / do ucha dostał się tarakan. Ta pani niesamowicie cierpiała i krzyczała. To chyba od tego wzięło się moje życiowe powołanie. Do

ucha nalałem nafty i <sup>d</sup>gy tarakan zaczął się wycofywać,chwyciłem go i wyciągnąłem.To był mój pierwszy medyczny sukces.

W naszym pomieszczeniu było pluskiew dostatek.Już nazajutrz przystąpiliśmy do kapitalnych porządków.Newralgiczne punkty wyparziliśmy wrzątkiem,ściany wybieliliśmy a podłogi starannie wymyliśmy.Przez to nasza izba była czysta idealnie.Spaaliśmy oczywiście na podłodze.W izbie nie zastaliśmy żadnych mebli;ani krzeseł ani nawet stołu.Tylko gołe cztery ściany.Ale teraz już <sup>z</sup>można było odpocząć.Jednak długo nie dane nam było odpoczywać.

Już nazajutrz przypomniano nam gdzie jesteśmy i po co tu przyjechaliśmy.Trzeba było iść do pracy.Mnie,jako młodego chłopaka,zagoniono do pracy przy sianie.Grabiłem,uładałem stogi i td.Moja mamusia miała się różnych prac.Pracowała m.in. w cielecefermie.Ale zapasy,które przywieźliśmy ze sobą z Polski,zaczęły się wyczerpywać.

W tym miejscu niezbędne jest pewne wyjaśnienie.I tak mieliśmy szczęście w nieszczęściu,że trafiliśmy do sowchozu /odpowiednik naszej spółdzielni produkcyjnej/ a nie do kołchozu, który odpowiada naszym PGR-om.W sowchozie za pracę dawano trochę pieniędzy i,co bardzo ważne,płacono co miesiąc.Dlatego tu było lepiej,choć praca była może i nieco cięższa.Ta uwaga nie dotyczy tych,którzy byli w tajdze,w "lesopromchozach" i trzebili lasy.Tu dodatkowym cierpieniem były niezliczone chmary boleśnie kłających komarów.

Tak było przez parę następnych miesięcy.Ale ja zawsze byłem ryzykantem.Pewnego dnia,nie mówiąc nic nikomu,najzwyczajniej w świecie,uciekłem z Surtajki.A trzeba pamiętać,że mieliśmy tam obowiązek meldować się codziennie u miejscowych władz.Poszedłem do rejonowego miasta do naczelnika tamtejszego NKWD

Uciekłem wieczorem. Noc spędziłem w stogu siana. Do rejonu było około 20-tu km. Nad ranem wkroczyłem na ganek budynku, w którym mieściła się siedziba rejonowej placówki NKWD. Obserwowałem reakcje przechodzących NKWD-ystów. Spoglądali na mnie źle ale nic nie mówili, o nic mnie nie pytali. Wreszcie któryś zapytał: a wy k'komu?" Odpowiedziałem: "k'naczalniku NKWD." Jednak nikt nie ośmielił się zapytać, po co.

Po jakimś czasie pojawił się naczelnik NKWD. Okazał się być człowiekiem młodym, miłym i jakby sympatycznym. Wydaje mi się, że z jakichś względów nie wzięto go do wojska. Najprawdopodobniej był ułomny. Cierpliwie mnie wysłuchał. A ja miałem do niego tylko jedną prośbę. "pozwólcie mi się uczyć. Ja chcę się uczyć." Moja prośba była tym bardziej zasadna, że w mojej miejscowości, Surtajce, nie było żadnej szkoły. On popatrzył na mnie jakoś tak inaczej i odrzekł: "choroszo, stupaj damoj. Zawtra pajediesz w Ojrot-Turu." Ja mu na to: "jak mogę jechać tak ot, bez dokumentów?" "Ty nie biespokojisia."

Rano wracałem do Surtajki. Po drodze spotkałem dwóch NKWD-ystów na koniach. Jak się wkrótce dowiedziałem, oni właśnie mnie szukali bo już odkryto, że opuściłem wieś. Oni, wściekli na mój widok, rzucili się do mnie z ostrymi słowami, wyzwiskami: "ty swolocz, gdzie ty byłeś?" Ja na to spokojnie: "byłem u naczelnika NKWD." To ich zamurowało. Zaczęli mnie gorączkowo sprawdzać pytając m.in. jak wygląda budynek, w którym znajduje się NKWD, kazali opisać wygląd ganku, w którym miejscu wisi "stiengazieta"/bo tam, w każdym rejonie obowiązkowo wiszą "stiengaziety", na których wywieszane są lokalne wiadomości, informacje, tabele, wykazy i t.d./ Jeden z nich powiedział: "sadis na kania" i posadził mnie za sobą na koniu. I tak dowieźli mnie do Surtajki. Kiedy już dojechaliśmy na miejsce, przy rozstaniu, powiedziałem im: "jutro od was wy-

jeżdżam."Oni:"niemożliwe." Ja - tak, możliwe.

Przybiegłem do mamy i zawołałem "Mamusiu, pakuj jakieś rzeczy. Jadę do Ojrot-Tury. Mamusia spakowała wszystko, co można było. Nazajutrz przeprawiłem się przez rzekę i dotarłem do "Czujskiego Traktu". Była to ważna droga, biegnąca od Bijska aż do Mongolii. Tu usiadłem na skraju drogi i czekałem na jakiś transport - okazję. Na takim oczekiwaniu minął dzień, noc i dopiero w drugim dniu nadjechała ciężarówka, napędzana drzewnym gazem. Jej kierowca zgodził się zabrać mnie do Ojrot-Tury.

Miasto okazało się piękne, położone nad piękną rzeką. Dookoła rozciągały się piękne góry. Domy i w ogóle zabudowa staranniejsza niż w Surtajce.

Pierwsze kroki skierowałem do szkoły. Miałem szczęście, bo w Ojrot-Turze była akurat szkoła felczesrka, która po trzech latach dawała dyplom i średnie wykształcenie. Swoją strukturą i uprawnieniami przypominała nasze technika. Jednakże tu okazało się, że warunkiem przyjęcia do szkoły było złożenie egzaminów. A tu niczego nie ma, gdzie można by się zatrzymać. Oczywiście nie miałem tu żadnych znajomych. Klimat tu był bardzo uciążliwy dlatego, że noce są tu wyjątkowo zimne a dni bardzo upalne. Typowe cechy klimatu kontynentalnego. Przez trzy noce spałem nad rzeką pod okazałym stosem drewna, którego olbrzymie ilości składowano, prawdopodobnie z myślą o spławie. Nocą sen trwał zwykle około 20-tu minut. Budziłem się z zimna i zaczynałem biegać. Sprintem przebiegałem kilka "stumetrówek" i próbowałem zasnąć. Po jakimś czasie znowu budziłem się pod wpływem zimna i znowu biegi.

W dzień uczyłem się zapamiętane, wiedziałem bowiem, przed jaką szansą stoję. Wiedza ze wszystkich przedmiotów przychodziła mi stosunkowo łatwo za wyjątkiem tylko jednego. Otóż

najwięcej kłopotów miałem z opanowaniem konstytucji ZSRR. Był tam bowiem taki przedmiot i to bardzo ważny.

Po trzech dniach przystąpiłem do egzaminów. I po trzech dniach a właściwie nocach poszedłem po rozum do głowy. Zauważyłem mianowicie, że miejscowe domy a właściwie prowadzące do nich sienie, zostają na noc otwarte. Już późnym wieczorem zakradałem się do sieni i wchodziłem na strych. Tu starałem się spać, przytulony do komina, który dawał tak cenne w czasie zimnej nocy ciepło. Tak nocowałem chyba przez tydzień. Szczęśliwie zdałem wszystkie egzaminy. Bardzo przyjemna i życzliwa okazała się pani dyrektor szkoły. Wyraźnie mnie polubiła jak się później dowiedziałem przede wszystkim dlatego, że byłem z ludzi przymusowo wywiezionych, skrzywdzonych. Od początku przyznała mi internat, w którym mieszkało chyba ze dwudziestu chłopaków. Tak zacząłem się uczyć.

Byłem dobrym uczniem. Nauka przychodziła mi stosunkowo łatwo. Szkołę skończyłem w terminie, po trzech latach i jako dusza niespokojna, natychmiast, posuwając się w pewnym oddaleniu za frontem, uciekłem do Polski. To było prawdziwe szaleństwo, bo nie miałem ze sobą żadnych dokumentów. W czasie podróży doznałem nędzy, głodu i poniewierki. Wszy mogłem zbierać garścią z kołnierza i nie ma w tym stwierdzeniu żadnej przesady.

Dotarłem do granicy w okolicach Czeremchy i szczęśliwie ją przekroczyłem. Skrajnie wyczerpany dotarłem do swojej rodzinnej wsi Szczyty, gdzie została moja ciotka. Była to połowa 1944-go roku. Pamiętam, że wówczas wojska radzieckie walczyły na Pradze a w Warszawie trwało powstanie. Jednakże nie dane mi było cieszyć się wolnością. Złośliwość i zazdrość ludzka nie zna granic. Oto jakiś skurwysyn doniósł widocznie, że uciekłem. Wkrótce zjwili się ci, którzy tym się zajmowali, wzięli

mnie za pewną część ciała i wpakowali najpierw do więzienia w Bielsku Podlaskim. Po jakimś czasie przewieziono mnie do następnego radzieckiego więzienia, tym razem w Brześciu Litewskim. Tu postawiono mnie przed sądem i wydano wyrok: ponowne zesłanie na Syberię pod kpmendanturą. Jak postanowiono tak i zrobiono: zesłano mnie ciupasem na Syberię. Tym razem znalazłem się w Tomskoj obłasti, rejon Żyrjanka, pasiółk Czornyj Jar, Kasztanowski "lespromchoz".

Moja mamusia, która przez cały czas przebywała nieprzerwanie na Syberii, już była na wolnej stopie. Oznaczała to, że mogła zmieniać miejsce pobytu. Mogła też wrócić bez żadnych przeszkód do Polski. Nie zrobiła jednak tego ze względu na mnie. Przyjechała więc do Tomska, wynajęła pokój i rozpoczęła trudne starania, aby mnie wydobyć z tego pasiołka i ściągnąć do miasta, do Tomska. Trwało to bardzo długo, kilka lat. Wreszcie udało się.

Podjąłem pracę w miejscowym szpitalu wojewódzkim ale nie jako felczer, chociaż miałem odpowiednie uprawnienia i kwalifikacje, lecz jako sanitariusz.

Moja mamusia była człowiekiem bardzo przedsiębiorczym i, co w tamtych warunkach szczególnie ważne, przewidującym. Wbrew opiniom otoczenia od początku twierdziła, że wojna nie skończy się prędko a tym samym nie zaraz wrócimy do Polski. Wiosną 1942-go roku skopaliśmy areał około ~~20000~~ 2 tys. m<sup>2</sup>, na którym zasadziliśmy ziemniaki i proso. Wszystko to robiliśmy na celinie /ugorze/, ziemi tak żyznej, że dla Polaka wręcz zadziwiającej. Ziemniaki obrodziły nadzwyczajnie. Z jednej o-bierki uzyskiwaliśmy pół a nawet i wiadro kartofli. Proso też obrodziło wyśmienicie. Dzięki temu mieliśmy do jedzenia ziemniaki i kaszę z prosa. Dzięki temu mogliśmy wykarmić dwa pr-siaki. W tym samym czasie inni ludzie czy to nie chcieli, czy

z jakichś innych powodów, nie robili nic. Wkrótce musieli sprzedawać ostatnie swoje rzeczy, przywiezione z Polski. Wówczas zrozumiałem, że wszędzie trzeba pracować, że praca jest najważniejsza.

Gdy zacząłem się uczyć w Ojrot-Turze, stykałem się często z Polakiem, który pochodził chyba z Warszawy. Był też zesłańcem, chociaż nie znam ani okoliczności ani przyczyn jego deportacji. Twierdził, że wraca do Polski już wkrótce. Do pracy iść nie zamierza, bo niedługo tu pozostanie. Chodził w podartych portkach tak, że mu pośladek wystawał. Dowcipkował, że nie ma potrzeby pracować, bo i tak tyłek goły będzie na wierzchu. Poddrywiwał z mojej nauki. Twierdził, że tyle mi to da, że będę mógł wozić nieboszczyków na cmentarz. Po jakimś czasie zaczął przeglądać moje szkolne podręczniki i ze zedumieniem stwierdził, że są one na wysokim poziomie, zawierają bowiem tłumaczenia z języka angielskiego. Po niedługim wahaniu zmienił zdanie. Poszedł do pracy w pobliskiej przychodni. Pracował, zarabiał trochę pieniędzy, otrzymywał zupki. Już miał się nieco lepiej. Wreszcie mógł kupić sobie nowe spodnie.

Uważam, że ludzki rozum ma to do siebie, że stara się nie pamiętać spraw przykrych. To bardzo porządana cecha ludzkiego umysłu. W przeciwnym razie postępowała by kumulacja a to nieuchronnie prowadziło by do afektu. Na szczęście ludzki rozum pamięta w zasadzie tylko to, co dobre.

Wszystkich mężczyzn zmobilizowano i posłano na front. Nas, piętnastoletnich chłopaków, zostało w tym około stu tysięcy w tym mieście około dwóch tysięcy. Ktoś obliczył, że na jednego młodziaka przypada około 20-cia kobiet. Kobiety, te 25-30-letnie grały o nas w karty. To miało tę dobrą stronę, że można było najeść się do syta. Dochodziło też do flirtów z "frontowiczkami."

Jak już wspomniałem, po moim powtórnym reportowaniu, moja mama podjęła trud wydostania mnie z pasiołka i zamieszkania w Tomsku, co się wreszcie udało. W roku 1949-tym roku otrzymałem od wojewódzkiego szpitala / tam pracowałem / skierowanie na studia. Jeszcze w tym samym roku wstąpiłem do Tomskiego Instytutu inaczej Tomskiej Akademii Medycznej im. Mołotowa. Ukończyłem ją w terminie, w 1955-tym roku. Podjąłem pracę w miejskim szpitalu w Tomsku jako chirurg. Trzeba bowiem tu dodać, że w Związku Radzieckim sprofilowanie studiów jest inne niż u nas. Tam z chwilą ukończenia studiów już ma się specjalizację.

Pracowałem tam prawie przez rok /dokładnie osiem miesięcy/ i przez cały ten czas intensywnie starałem się o dokumenty zezwalające na powrót do Polski. Jeszcze na ostatnim roku studiów ożeniłem się. Moją żoną została Polka, córka zesłańca Za- uścińskiego. Tam też, na Syberii w Tomsku urodziło się nam dziecko. Wreszcie, po usilnych staraniach otrzymaliśmy pozwolenie na powrót.

Wracaliśmy w licznym składzie: moja mama, teściowa, żona i półtoraroczny syn.

Mieszkając jeszcze na Syberii wzięliśmy z mamą pożyczkę 5-ciu tysięcy rubli, kupiliśmy plac a następnie postawiliśmy dom o wymiarach 6 X 7 metrów. Połowę zajmowaliśmy a drugą połowę wynajęliśmy lokatorom. Opłaty od nich otrzymywane pokrywały koszty utrzymania mieszkania. Kiedy wyjeżdżaliśmy, sprzedałem ten dom za 15-cie tysięcy rubli, kupiłem samochód marki "Moskwicz" i bez cła przywiozłem go do Polski.

Drugi dom zbudowałem już w Polsce, dokładnie w Bielsku Podlaskim a trzeci w Białymstoku.

W Polsce, natychmiast po powrocie podjąłem pracę w Bielsku Podlaskim a po jakimś czasie przeniósłem się do Białegostoku.

Obecnie <sup>5/</sup>jestem już na emeryturze. Pracuję jeszcze zawodowo w ośrodku zdrowia w Jenkach. Miejscowość ta leży przy trasie do Łap.

Na Syberii nawet w najtrudniejszych chwilach, w najsurowszych warunkach byłem zawsze optymistą. A bywało przecież i tak, że z głodu, gdy przez trzy dni nic nie miałem w ustach, widziałem podwójnie.

Kiedys NKWD-yista Dubinin powiedział mi w chwili zaciętrzewienia: nie tylko ty, ale twoje dzieci a nawet i wnuki będą gnić tu, na Syberii. Odpowiedziałem mu natychmiast, że się myli, że zarówno Marks jak i Lenin stanowczo twierdzili, że nic nie jest wieczne. Kiedy już zbierałem się do odjazdu, spotkała mnie nielada satysfakcja. Dubinin otwarcie stwierdził, że tym razem nie miał racji.

Dotkliwym ciężarem na Syberii była dla mnie tęsknota za krajem. Bywało, że leżąc na trawie wpatrywałem się długo w gwiazdę polarną. Myślałem, że może ktoś właśnie w tej chwili w kraju patrzy na nią i że w ten sposób mam kontakt z ojczyzną.

Posiadam dyplom nr ~~06139~~ 06139, wydany przez Tomskij Gosudarstwiennyj Medinskij Instytut im. Mołotowa. Na czterdzieści pozycji są tylko trz oceny dostateczne /reszta: otliczno i charaszo/. Jedna z trójek dotyczy jakże ważnego tam przedmiotu: osnowy marksizmu leninizmu. W dalszym ciągu jakoś mi to nie szło, jak w pamiętnym, 1941-ym roku w czasie egzaminów wstępnych do szkoły felczerskiej w Ojrot-Tura.

Tak to rzucony przez wojenny czas w dalekie strony, w trudnych warunkach, zdobywałem wiedzę i wspaniały zawód. Zapłaciłem za to wysoką cenę ale też i nie zmarnowałem tych lat. Zawsze byłem optymistą mimo, że tak naprawdę ~~to~~ rzeczywistych powodów do optymizmu miałem bardzo niewiele. Ale właśnie dzięki temu przegrany nigdy nie byłem. I nie jestem. *Notatki: stopień siapero*